JULJANA TUWIMA

POEZYJ

TOM



I G N I S

WIERSZY
TOM 4

TEGOŻ AUTORA:

CZYHANIE NA BOGA. Poezje. Wydanie III
SOKRATES TAŃCZĄCY. Poezje. Wyd. II (wyczerpane)
SIÓDMA JESIEŃ. Poezje
BALMONT i BRIUSOW. Przekłady z liryki rosyjskiej

SKŁADY GŁÓWNE — Kraków: S. A. Krzyżanowski
Łódź: Ludwik Fiszer — Poznań: Fiszer i Majewski
Wilno: Stowarzyszenie Nauczycielstwa Polskiego

JULJAN TUWIM

WIERSZY

TOM

4

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „IGNIS“ SP. AKC.
WARSZAWA TORUŃ SIEDLCE

Okładkę rysował Tadeusz Gronowski.

Odbito 3.200 egz. na papierze zwyczajnym i 10 na papierze czerpanym w drukarni „Rola" Jana Buriana w Warszawie rok 1923

DZIECIŃSTWO

Matce

O cyganach, północy i strychu,
Pełnym szpar, dziur od sęków, przez które
Seledynu płynną sztukaturę
Księżyc wlewał na sufit wisielczy,
O sekretach, pociemku, pocichu,
O wędrownym teatrze i mnichu,
Zbierającym pod gwiazdami zioła,
Będzie powieść straszna i wesoła.

Cienie liści w trzepocie na ścianie,
Srebrne bryzgi przez drżącą firankę,
Sen mój z jawą bawił się w chowankę
I przez siatkę włóczkową łóżeczka
W nieskończoność wpływał niespodzianie,
Wtedy — łkanie, biały strach, wołanie!
Jak śnieżyca, pędzą barwne skrawki — —
Sny: w potwory rosnące zabawki.

W starej książce był posępny szatan,
Co wpatrywał się w Lygję zlęknioną,
Była Lygja moją narzeczoną,
Więc ratować ją chciałem alchemją

I warzyłem ziółka, jak szarlatan,
Potem nocą mnie dusił Lewiatan,
A przed bramą stały groźne czaty:
Pan wieczności — czarny pies kudłaty.

Były walce i rzewne piosenki,
Bale w zamkach, w zaklętych stolicach,
(Wtedy jeszcze po lwowskich ulicach
Chodził Felek Przysiecki z kochanką!)
Były drżenia, wyznania i lęki,
Szum kasztanów, słodkie łzy podzięki,
I był księżyc, co patrzał z wysoka
Na Felaxa de Birbante Rocca!

O, te dziwne, niespokojne wieści!
O, majowe i szalone wino!
Rycerz Felax północną godziną
Gorączkowo opowiadał dziwy:
„Wiatr ogrody rozkołysał w mieście,
A w paltocie zmięty list szeleści!“
...Błądzą w rynku cienie niedorzeczne,
Drżą, jak serca, gwiazdy średniowieczne.

Gwiazdy! Nuty rozbitych kantylen,
Na niebiosa garściami ciśnięte!

Czyje dłonie obłąkane i święte
Rozrzuciły moją młodość śpiewną?
Kto otulił w błękitną mantyllę
Czarną Łódź, romantyczną Sewillę?
Błędny dandy, uśmiechnięty blado,
Szedłem miastem w płaszczu i ze szpadą.

Gdzie mój rycerz ze swym Rossynantem?
Gdzie ów Petzold, z obliczem jak grabarz?
Kasztelanka gdzie? Cygan Barnabasz
Barligunti zwany Rumbarbarum?
Gdzie Paganel z kapitanem Grantem?
Tam zostali. A ja — emigrantem
Jestem... Tęsknię za ojczyzną moją!
Tutaj, u was, obco mi, nieswojo.

Tam wielbłąda miałem na Sudanie,
A żyrafę i palmę na Niassie!
Gwatemala miała głowy ptasie,
Na Jamajce wodospad się pienił,
Ktoś rogaty był na Labuanie,
Fioletową kochałem Tasmanję!
Z dzikusami nocą szły do tańca
Jaguary z „Młodego wygnańca".

Tam zostałem — w albumie pocztówek,
Na obrazkach, na markach pocztowych,
W lalkach z kitu, w ogniach kolorowych,
W czarnej magji, w mem laboratorjum,
Pełnem rurek, kółek, gwoździ, śrubek,
Tam, w kajetach, gdzie tysiące słówek
Z egzotycznych zbierałem języków:
Hałas ludów, confetti słowników.

Tam zostałem — w matczynym kajecie,
W najcudniejszych z wszystkich cudnych
wierszy!
Świat bajeczny, dziw poezji pierwszy!
Był tam strzelec, co nie dał kwiczołów,
I pocztyljon w ogromnej karecie,
Były dzwony i płaczące dziecię,
Jakieś zdanie: „żegnaj... ruszam w drogę"
I „daj czarkę — dokończyć nie mogę".

MOTYLE

Gdzie jesteście, okrutne motyle,
Pawie oczy, żałobniki, admirały,
Fruwające kwiaty i robaki,
Wytarzane w czarodziejskim pyle,
Który nocą ze skrzydeł strząsały
Obłąkane, rozśpiewane ptaki!

Przecież dawniej bywało was tyle,
Kiedy byłem szalony i mały,
I goniłem was w pożodze białej
Z zadartemi, ślepemi oczyma,
Nakłuwałem was żywcem na szpile,
Wy okrutne arabskie motyle,
Jaka wiedźma w uwięzi was trzyma?

O, na łące w złote dni gorące
Drgał i skakał pęd dzikiej obławy,
A gdy siatka zielona spadała
Na splątane jadowite trawy,
To pod merlą biło-trzepotało
Me schwytane serce fruwające
I jak motyl z rąk się wymykało!

Czarne centki, zielone obwódki,
Wycinanki, jaskółcze ogony,
Purpurowe i pomarańczowe
Gąsienice w puszce, szpilki, trutki,
Myśli jasne — wody kolorowe —
Pył roztarty — eteryczne zgony!
O chaosie! O barwne miljony!
Śnie najdroższy i tak bardzo krótki!

— Gdy mnie ciemne wino otumani,
Gdy upiorna księżna ocygani
Srebrnym sierpem na sierpniowem niebie
Wyjdę wtedy na łąkę cichaczem
I przywołam was dziecięcym płaczem
Do siebie.

Przyfruniecie, opadniecie w bezsile,
Trupie główki, ostatnie motyle...

W BARWISTANIE

Aleksandrowi Watowi

Flakony krystaliczne,
Szkło mroźne i zacięte,
A w szkło kolory wklęte.

Ekstrakty z wiotkich ziół,
Balzamy serafickie,
Tynktury czarnoksięskie,
Essencje alchemickie,
Przedbarwne, mdławo-mgławe,
Barwione jadowicie,
Kropelką żyłkowane,
W ciemności iskrą grają,
Wybłyski w nich łyskają,
A w słońcu krają szkło
I oszalałą żmiją
Po brzuchu szkieł się wiją
I wrą trucizną złą.

Niebiańskich lśnień roztwory,
Bursztyny i fosfory,
Niedofiolety ciepłe
W przeźroczem szkleniu wklęć
I alkohole sine,

Przez które widać śmierć
I płomień w ciemnym płynie
I promień w czarciem winie
I ciężka blaska rtęć.

Wpatrzony we flakony,
Śpię, dźwięcznie rozbarwiony,
Przedśmiertne słodkie szumy
Owiały moje dumy
I drzemię uśmiechnięty
Na szmerze błędnych harf
I błąkam się zaklęty
Po lodzie wzrokiem barw
I w mózgu, w centrum głowy,
Mam punkcik brylantowy
I dzwoni deszcz tęczowy
Deszcz po gałązkach harf.

O, świetlny błogim mirem!
Zbarw się w jarzące wino,
A ja się Tobą upiję
I wiecznym eliksirem
Do Barwistanu wpłynę!

ŻYCIE

Do krwi rozdrapię życie,
Do szczętu je wyżyję,
Zębami w dni się wpiję,
Wychłeptam je żarłocznie
I zacznę święte wycie,
Rozbyczę się, rozjuszę,
Wycharknę z siebie duszę,
Ten pęcherz pełen strachu,
I będę ryczał wolny,
Tarzając się w piachu.

PIERWSZY MAJA

Mokrą czerwienią, wzburzoną, wydętą,
W oknie otwartem chorągiew furkoce,
W czerwone święto, w czerwone święto
Dzień się roztopił w słonecznej patoce.

W ciepło niebieskie okna wycięto,
W pokojach snopy, złote pociski,
Luster i błysków śliskie umizgi,
Bucha z błękitu niebieskie święto!

Światłem spienione oddycha piętro,
Oślepiające jarzą się dachy,
I miljon światła w gorące święto
W oknach zwierciadłem przewraca gmachy!

A wiatr się tarza po srebrnej wodzie,
Zartęcił blaskiem, rozchwiał obłoki,
Piętra się łamią w słonecznej wodzie,
Szkło dzwoni w wodzie jasnogłębokiej!

Salwo promienna Złotego Oka!
Bij w wodę, w dzwony, w dzwoniącą wodę!
Swobodo moja bardzo wysoka,
Skrzydłami uderz w pogodę!

Przewróć się w wietrze przez miasto mostem,
Furkotem blasku chorągwiej krasna!
Z Wisły do nieba, z wiatru do miasta,
Światłem radosnem wiosna i jasna,
Swobodo moja, swobodo własna,
W czerwień cię wpięto, w błękit zaklęto,
W wodę wdzwoniono, w piętra podjęto,
Szalej, czerwona, niebieska, zielona,
W czerwone święto, w niebieskie święto,
W zielone święto majowe!

KRZYCZĘ:

Boże święty! Nie rób ze mnie posągu!
Jak chorągwią wiej mną, wietrze boży!
Wschód i zachód niechaj się otworzy,
Niechaj stanę w wszechświatowym przeciągu!

Ja nie pragnę być aere perennius,
Gardzę mocą niewzruszoną spiżu,
Ani nie chcę, by mnie w wieczność przeniósł
Mit w postaci rozpiętej na krzyżu.

Ale chcę, by mnie życie podarło,
Potargało piorunem wichury,
Niechaj wpija we mnie kły, pazury
I drapieżnie mnie chwyta za gardło.

Niech odejdę poszarpany, krzyczący,
Że o miljard lat zawcześnie ginę,
I niech tłucze mnie w ostatnią godzinę
Wiatr mój wierny, z żalu skowyczący!

ŚMIERĆ

Jak brzytwą masło, tak przetnie mózg;
Jak kamień w wodę — cicho: plusk...

DO NIEGO

Wskoczyłeś na mnie, jak zwierzę,
Gęstą noc rozdarłeś pazurami,
Oczy w oczy wbiłeś mi gwoździami,
Pod twoim skowytem leżę,
Już na zawsze oddany!
Wpleciony w gwałtu Twego okrucieństwo!
Jak dziewczyna, oddałem Ci moje panieństwo!
I teraz,
Na wieczne brzemię skazany,
Dźwigam płód, który się we mnie rozrasta,
A nigdy się nie urodzi,
Cięży we mnie, jak kamienne miasta,
Pęcznieje jak kula ognista...
Plotka chichotliwa za mną chodzi,
Że dźwigam Antychrysta!

Ale żywot mój się nie otworzy
I pójdzie ze mną w grób
Syn chuci bożej.

MILJON HP

Wiecznie tylko oczy do Ciebie i modłów
okrzyki,
Lecz wzrok Cię nie przebije, a głos Cię nie
dokrzyczy,
Opuść, opuść z niebiosów miedziane prze-
wodniki,
A ja rękami je chwycę, o wielki Motorniczy!

Jeśli już zginąć muszę, to niech miljonowoltowy
Twój prąd mnie zwęgli potężny ostrym pio-
runu trzaskiem!
Moc swą w śmierć moją właduj, zygzaku fio-
letowy,
Wal we mnie, jak w Gaurizankar ze złotym
na łbie kaskiem!

Godzien jestem Twej mocy, bo moja męka,
tęsknota,
Rozpędza Twe motory, Twe straszne koła
goni!
Miljon HP mną rusza! Pegazów miljon mną
miota!
Tabun rumaków skrzydlatych, mych poetyc-
kich koni!

DZIURAWIĄC NIEBO...

Leopoldowi Staffowi w dowód serdecznej
i zawsze żywej przyjaźni

Dziurawiąc niebo wściekłym wzrokiem,
Nogami kopiąc pijany glob,
Zataczam się olbrzymim krokiem,
Żeglując pod wydęty strop.

Przypłyną do mnie wielkie wody,
Porwą mnie w podróż, w straszny bieg,
W zielone gody i przygody
Korytem rozjuszonych rzek.

Gdy wyląduję, będzie lato,
Kleisty, roztopiony skwar,
Zgniecioną łąką, jako szmatą,
Z gorącej twarzy zetrę żar.

Wicher mi borem w oczy śmignie
I wleje w gardło złoty śpiew!
Zdrowie się we mnie z krzykiem dźwignie,
Zagalopuje ciemna krew!

Z życiem, niedbale przerzuconem
Przez ramię, jak zwierzęca sierść,
Utopię w niebie rozkrwawionem
Moją wrzeszczącą ostrą śmierć

Wrócę czerwony i szalony,
Jak głodny pies śród świeżych ścierw!
Jak okrzyk igły rozżarzonej,
Gdy w obnażony trafi nerw!

Świat mi pod ciało się położy,
Jako pod topór kawał pnia,
I sen mój będzie, jak sen Boży
W wigilję pierwotnego dnia!

MY — LUDZIE

My jesteśmy ludzie pokrwawieni,
Bo ostre ognie wydzieramy z przestrzeni.

My wcieramy się lubieżnie w żywot!
O, dni mięsiste! Ty okrągłe tworzywo!

Twardość jest w nabrzmiałych żyłach.
Cwałujemy na dniach, jak na młodych ko-
byłach.

Świat gryziemy w ustach, jak czereśnie,
Jak dwadzieścia wiśni jednocześnie.

Ciała, cieczą i miazgą napęczniałe,
Wystawiamy pod żądła wspaniałe.

I nabici tym soczystym miąższem
Szalejemy od złotych ukąszeń.

SŁOWA

Łbie — złoty!
Lwie — wściekły!
Gniewie, gniewie, gniewie czerwony!
Idę — prosto.
Świat — pruję.
Nóż — w pięści,
Nóż
Naostrzony.

Głos — śpiewam.
Słowo — tworzę.
Mięsień — prężę.
Mózg
Do kości!
Wiatr — w oczy.
Krok — w ziemię.
Tak!
Nie mam
Dla życia
Litości!

WALKA

To nic, że w getrach, w krawacie
I w modnie skrojonem palcie,
Ja chodzę jak sędzia, jak prorok
Po twardym, miejskim asfalcie.

Gniewnemi oczyma burzę
Teatry i parlamenty,
Dyrekcje, redakcje, banki,
Gdzie rządzi bies przeklęty!

Oczyma biję drągiem
W szyby wspaniałych wystaw,
Taranem krzyku druzgocę
Królestwo Antychrysta.

Palą się w moim wzroku
Miljardy waszych dolarów,
Popiół sypie się szary
Z pychy głupich sztandarów.

Wznosicie nowy Babilon,
A rządzi planem budowy
Bies: bratobójca, idjota,
Stinnes tysiącpudowy!

Więc rozpaloną niemocą
I usty fanatycznemi
Zmiatam, o ślepcy nieszczęśni,
Babilon z oblicza ziemi.

DO JENERAŁÓW

Warczy, straszy, groźnie ściąga brwi
Byle jeneralisko, obwieszone gwiazdami.
— Panowie! Przestańcie udawać lwy!
Dowiedzcie się nareszcie, że tutaj — my,
Zamyśleni przechodnie,
My jesteśmy tu jenerałami!

Nonszalancja, pompa, szlify, szyk,
Tajemnice sztabowe, adjutanci, bale,
Słówko rzuci — i robi się krzyk:
„Dzięku! jemy! panie! jene! rale!“

Śmieszne rzeczy. No bo niby co?
Bierzcie ze mnie przykład: chodzę skromnie,
A mam władzę, panowie, ho-ho!
— Cały wielki świat należy do mnie!

Nie dosłuży się żaden z was
Do tej rangi — Wolnego Poety!
Bóg nie rzuci wam takich gwiazd
Na mundury i na epolety!

Nie powierzy wam żaden sztab
Naszych słodkich i strasznych sekretów!
Nie znajdziecie na żadnej z map
Tajemniczej ojczyzny poetów!

Wam — czerwone wyłogi za rzeź,
Za morderstwo, gwałty i pożogi!
My — do serca nagą rozdzieramy pierś:
Takie mamy szkarłatne wyłogi!

Z armat waszych — pocisków grad
Śmierć i dym zostawia, bomb Miotacze!
Ale życiem i ogniem
Nawet za tysiąc lat
Będą pękać naszych słów kartacze!

Więc przestańcie udawać lwy,
Śmieszni ludzie, obwieszeni gwiazdami.
Pamiętajcie, że tutaj — my,
Zamyśleni przechodnie,
My jesteśmy tu jenerałami.

NAUKA

Nauczyli mnie mnóstwa mądrości,
Logarytmów, wzorów i formułek,
Z kwadracików, trójkącików i kółek
Nauczali mnie nieskończoności.

Rozprawiali o „cudach przyrody",
Oglądałem różne tajemnice:
W jednem szkiełku „życie w kropli wody"
W innem zaś — „kanały na księżycu".

Mam tej wiedzy zapas nieskończony:
$2\pi R$ i H_2SO_4,
Jabłka, lampy, Crookes'y i Newtony,
Azot, wodór, zmiany atmosfery.

Wiem o kuli, napełnionej lodem,
O bursztynie, gdy się go pociera...
Wiem, że ciało, pogrążone w wodę
Traci tyle, ile... etcetera.

Ach, wiem jeszcze, że na drugiej półkuli
Słońce świeci, gdy u nas jest ciemno!
— Różne rzeczy do głowy mi wkuli,
Tumanili nauką daremną.

I nic nie wiem i nic nie rozumiem
I wciąż wierzę biednemi zmysłami,
Że ci ludzie na drugiej półkuli
Muszą chodzić do góry nogami.

I do dziś mam taką szkolną trwogę:
Bóg mnie wyrwie — a stanę bez słowa!
— Panie Boże! Odpowiadać nie mogę,
Ja... wymawiam się, mnie boli głowa...

Trudna lekcja. Nie mogłem odrazu.
Lecz nauczę się... po pewnym czasie...
Proszę! Zostaw mnie na drugie życie,
Jak na drugi rok w tej samej klasie.

DZIEŃ

Nadenerwuje, nabiega się człowiek przez cały
dzień.
Przez oczy włażą do mózgu przedmioty, przed-
mioty...
Ruchy, słowa i myśli przez cały dzień.
Wieczorem zmęczone oczy mdleją z tęsk-
noty.
Szumi tęsknota rozpłakana:
O, Boże, Boże!
Dlaczego pod Twoim krzyżem
Nie leżałem kamieniem od rana?

Nadenerwuje, nabiega się człowiek przez cały
dzień:
Tutaj strzępek radości, tam ostry odłamek
zgryzoty.
Wieczorem
Oczy
Umierają z tęsknoty.
Trzy wódki, cztery wódki, siedzę tępy jak
pień,
I po twarzy mnie biją foxtroty.

A kiedy się upiję,
Idę oczami zmęczonemi spać.
I w czarnych supłach snu
Śmierć się wije.

RACHUNEK

Liczą mnie jacyś przez noc całą,
Piszą i piszą, a wciąż mało...
Skacze pokraczny szyfr.
Już jestem słaby i zmęczony,
Piszą biljony, kwadryljony,
Roi się szereg nieskończony
Cyfr.
Nie mogą zliczyć mnie, nie mogą,
Mylą się, kreślą gorączkowo,
Gdzieś sterczy głupi błąd.
Więc znów nanowo i nanowo
Wieszają nad mą pełną głową
Liczb robaczywych rząd.

Miljard miljardów naliczyli,
Przez sto miljonów pomnożyli,
A jeszcze straszą, jeszcze grożą,
Że przez 13 mnie pomnożą,
Przez nieskończoność mej mordęgi
Będą mnie wznosić do potęgi,
Do 17-tej, do 9-ej, do 365-tej,
I znów pomnożą, znów podniosą,
Spiętrzą się liczby ku niebiosom,

Rozsadzą wszechświat, w bezmiar wyjdą,
Urosną nad mą biedną głową
Abrakadabrą, piramidą,
Kolumną runą stuwiekową,
Jak wszy rozbiegną się w zakątki,
Rozpadną się i znów rozmnożą
W siódemki, dwójki, czwórki, piątki,
W ósemki, zera i dziesiątki,
Spęczniają w rojne stubiljony,
Miljardy, seksty — oktyljony,
Żarłoczną mnie opadną dziczą,
Aż mnie przeliczą, aż doliczą,
Aż mnie pomnożą, czarne katy
Przez wszystkie światy i wszechświaty.

MEBLE

Ranki gmatwają się mętne, krzykliwe,
Dzień mnie na sobie rozpina, jak krzyż.
Puste godziny, nieżywe, lękliwe,
Pełzną złowróżbnie, skrobią po kątach,
Jak nocna mysz.

Meble kanciaste, śpiczaste, skrzypiące,
Patrzą zpodełba, zgryźliwie, źle...
Zmówią się, zejdą się, zamkną mnie,
Zrosną się w zwierzę drewniane, krzyczące!

A gdy wychudły z ich chwytów się wyrwę,
Noc rozpoczyna swój stuk i zgrzyt:
Trzaskają meble mściwe, mrukliwe,
Drażnią się ze mną sny napastliwe,
Ujadające, splątane, straszliwe, —
Aż się z nich z trudem wygmatwa, wyroi
Mętny, spuchnięty świt.

ZADUMA

Zamyślenie nad śniegiem dłuży się i dłuży,
Białość jarzy się tępo od zimnego słońca.
Biała żałoba, jak długa choroba, nuży, nuży...
Mojej zadumie niema końca.

Ból oczu, twarde zimno na czole,
We mnie jest wiecznie i daleko,
Znów umieram w dzwoniącym szumie.
Patrzę, patrzę w śnieżną, zimną niewolę.
Niema końca mojej zadumie.

Wrócę. Położę się, szczęśliwy i smutny,
Białe plamy migrenyześnieżą się w biały
tuman.
I owinie mnie śmiertelnem płótnem
Nieskończona moja zaduma.

FLECISTA

Był piegowaty mały flecista
W wielkiej stołecznej orkiestrze.
Grzmiące symfonje targały przestrzeń,
A on w swój flecik świstał.

Oczki kaprawe błogo przymykał
I mdlał w łkającym spazmie,
Burzą huczała groźna muzyka
W szalonym entuzjazmie!

Grał piegowaty mały flecista
Dla pani w trzecim rzędzie.
Była ta pani modro-złocista,
Jak mgława dal w Legendzie.

I dął płucami i piszczał o tem,
Że płacze nocą i tęskni!
Niech jej opowie straszną tęsknotę
Ten pisk, ten pisk zwycięski!

Niech ona wstanie i świętą dłonią
Z ust pocałunek mu prześle!
Patrzcie — powstaje, wstaje na krześle
Flecista nad symfonją!

Patrzcie — on krzyczy w natchnionym szale
I pięści zaciska w gniewie,
Że jego fletu nie słychać wcale,
Że ona o niczem nie wie!

I jeszcze ryczą trąby, puzony,
Wiole zanoszą się szlochem,
A już do krzeseł zamęt skłębiony
Runął spiętrzonym popłochem!

GARBUS

Piękne krawaty,
Lecz cóż mi po nich, kiedy jestem garbaty?

W tym, w paski srebrne,
Byłoby mi do twarzy.
Ale daremnie:
I tak go nikt nie zauważy.

Choćby był z tęczy,
Choćby z papuzich był barw,
Nikt nie powie: „Jaki śliczny krawat!"
Każdy powie: „Jaki straszny garb!"

Mnie trzeba szarfy długiej,
Najcudniejszej z szarf!
Zawiążę ją tak pięknie,
Że mnie nie poznacie!
— Ach! ach! — szepniecie —
Jaki garb!
Ale... dlaczego pan wisi — na krawacie?

DZIKA HISTORJA

Przyleciał francuz — krzyknął:
„Elle est morte!“ — w czaszkę trach!
Rozdarła myśl — gest się zwichnął
W oczach wielkich jak strach —
I przewróciło się, mózg wierzgnął:
— Co? Co?! Pourquoi?!! Nie gdacz po fran-
cusku!
Nie rozumiem!!! — Pisk się przerznął,
Wyskoczył nad wargą w muskuł.
Wiem, wiem, nie rozumiem,
Targam, tarzam się w łzach,
A ten głupi, przestraszony, tłumaczy:
„rątąsąbą purmęlantą bątęrąlą“
Co? Dlaczego? Kiedy? Co to znaczy?!
I w gardle krztusi się piach, piach, piach!

WALC STARYCH PANIEN

Gdy szarem utrapieniem niebiosa się otrupią,
Jak suchym kurzem zmierzchu, po dniach przenudzonych,
Z upartej kamienicy łka ckliwie i głupio
Walc wszystkich zawiedzionych i nieuwiedzionych.

Nie wiem za jakiem oknem są te nieodzowne
Łyse meble pluszowe, za lat dziecinnych — bordo,
Te zżółkłe fotografie, dziś już niepodobne,
I stary klekot, wierny swym drżącym akordom.

Ale wiem, że na imię tam wszystkiemu — Dawno,
I że wtedy taksamo dzień znużony konał,
I że tak codzień gra się melodję ustawną,
Smętnego walca: „An dem schönen blauen Donau"...

A gdy się czarne wieko do jutra zamyka,
Ktoś wstaje—i po meblach rozpełza się głusza:
Martwa, jak długi czarny surdut nieboszczyka,
Wietrzony na balkonie, kiedy kondukt rusza.

MOMENT

W szarem oknie sklepiku stała srebrna tru-
mienka,
A przed szybą — maleńka, biedna, chuda
panienka.

Zapatrzyła się w okno, w swoje nikłe odbicie,
I w trumienkę śmiertelną i w nieżywe swe
życie.

I nie patrząc, patrzała; i nie wiedząc, wie-
działa;
I na morzach płynęła i pomocy wołała!

SZCZURY

Stefanowi Jaraczowi

Złe, zwinne i piskliwe, miljard na jednego,
Na mnie, na mnie uwzięły się skrobiące
szczury!
Z mroku wieków, wysłańce mściciela taj-
nego,
Wzdłuż rzek przywędrowały rude mokre
sznury.

I poto snadź płynęły świętemi rzekami
I łożyska Pendżabu zasłały pokotem,
By wyczekiwać na mnie co wieczór pod
drzwiami
I szastnąć w ciemną dziurę straszliwym chro-
botem.

Pamiętają, przeklęte, że zemstę przyrzekły,
Bo skradają się, węsząc ofiarę zamachu,
By przez mój krok przeskoczyć z chichotem
zaciekłym,
Mnie na złość: abym zdrętwiał i zamarł ze
strachu!

A kiedy drzwi zatrzasnę, kwiczą w nocnej
głuszy,
Podkop ryją żarłocznie, z zawziętą rozpaczą...
A gdy usnę struchlały, zacisnąwszy uszy,
Długie, kosmate szczury przez moje sny
skaczą.

Za skarby do pustego nie wejdę pokoju,
Bo szczur szurgnie z pod szafy lub z sąsiedniej
sali,
Szczur jest w każdej szufladzie, gotowy do
boju:
Skoczy na pierś i szczeknie i ciężko się zwali.

Wysoko na firance czeka uwieszony,
Przykucnie pod poduszką, w nogach łóżka
legnie,
Rankiem — z buta, z rękawa wymknie się,
spłoszony,
I szczur—szczur—szczur po ciele truchcikiem
przebiegnie.

A gdy księżyc-fantasta zamajaczy w górze,
Cienie swe, jak jaskółki, strumieniąc ze ściany,
Szczur wychodzi żerować na srebrne podwórze,
W martwym słupie miesiąca jak zaczarowany.

A za nim drugi, trzeci... poważnie, mistycznie,
Kładą się, łby podnoszą i sterczą, jak grzyby...
Muszę wstać, zapatrzony, kroczę lunatycznie
I sztywne oczy wlepiam w księżycowe szyby...

I patrzymy na siebie w tę jasną noc letnią,
Trwożni i natężeni nienawiścią dziką,
Błagają mnie oczyma, abym wyszedł z fletnią,
A one pójdą — pójdą za moją muzyką...

— Wiem, podłe, co knujecie! Wyjdą hufce szczurze,
Ze wszystkich piwnic miasta nawierzch się wyskrobią,
Pójdą za mą piosneczką, lecz nagle, przy murze,
Splączą się za mną, spiętrzą — i tam swoje zrobią!

Przyprą mnie ogoniastą, pazurzystą falą,
Jak w sieć, schwyci mnie czarny potwór tysiącgłowy,
Zczepione, rozjątrzone naziem mnie powalą
I dokonają, piszcząc, zemsty popielowej!

Tak spełnią czyn wyśniony. Potem — ruszy
lądem
Zwycięska dżumonośców armja ku wybrzeżom,
Zakryje sobą wody, i z rzek świętych prądem
Popłynie triumfalnie ku pradawnym leżom.

POETA OPĘTANY UPRZEDZA, NA WSZELKI WYPADEK, BOGU DUCHA WINNĄ ŻONĘ

A jeżeli ja ci nagle syknę, świsnę i dam nura,
Trzasnę plackiem o posadzkę i płomieniem buchnę wzwyż?!
Zgiełk powstanie, zamieszanie, swąd siarkowy, awantura,
Pod podłogą szastnę nogą — i już ze mnie szara mysz!

Przez piwnicę na ulicę jak piłeczka się potoczę,
Wtem podskoczę, w iskrach prysnę i zakręcę się jak bąk!
Nad snem twoim zakołuję — zacałuję — załaskoczę
I opadnę kłębkiem czarnym do stulonych twoich rąk.

EPOS

Pani Marji z Kossaków Pawlikowskiej

Może to dzwonią dziwodzwony,
Może to gonią dziwożony,
Może przez jary, przez chojary,
Gna koń straszliwy, koń szalony?

Niebo przerzyna sierp złotawy,
Szklą się w głębinach czarostawy,
Brzęczą fruwieńce, nocne cieńce,
Tańcem trącają zielne trawy.

W róg zadmie głucho ciemny strzelec,
Ozwie się cielec czarnobielec,
Wyjdzie kosmaty, trawy skrwawi
W miesiąc rogaty ślepia wstawi.

Zawyje dziko bestja święta,
A burza wieków się rozpęta!
Hej! Ojcze Byku! Słyszę! Słyszę!
W zodjaku gwiezdne rżą zwierzęta!

BIOLOGJA

Baby latem biodrzeją,
Soki w babach się grzeją,
Owoc żywy dojrzewa,
Lep żywiczny wre w drzewach.

Płeć się pławi płodziwa,
Buhaj ciołę pokrywa,
Mleczem tłustem się klei
W rozjuszonej nadziei.

Dyszy ziemia-kobyła,
Wymion dwoje w świat wzbiła,
Byk wiecznego żywota
Białem ślepiem żar miota.

Roztopiły się pola,
Rozstąpiła się rola
I w czarnoziem tętniący
Trysnął białun gorący.

ŚWIT

Tu bliziutko — coś zawołało,
A daleko — odróżowiało.
Nie wiem co, bo ni to ani owo,
Na ćwierć ptasio, na trzy ćwierci różowo.

Szeptem przeszło tuż-tuż w sitowiu,
Zaliściło liśćmi w listowiu
I rozniosło się i frunęło
I po stawie ogniem huknęło.

W LESIE

Na twardych korzeniach ślisko,
Na mchu głęboko i miękko,
Mrowi się wściekłe mrowisko:
Kopiec drgający męką.

Przez drzewa miga drzewami,
Mokro i ciepło po deszczu,
Pachnie miękkiemi grzybami,
Gałązki skrzypią-trzeszczą.

I wtem — jak z cebra — na świerki
Słońce chlusnęło, wylało,
I poszły ćwierki-przećwierki,
Zaświegotało, załkało...

Zatriotrulitreliło,
Frunęło śpiewem z wierzchołka,
Ptakom się w dziobkach sperliło
I niebem płuczą gardziołka!

Jarzeniem ocieka wszystko,
Lepko na korze pod ręką,
— I wre rozwścieczone mrowisko:
Kopiec drgający męką.

ZIELONA ZIEMIA

O, żerowisko bujne, pełne zwierząt i drzew!
O, świecie dla mnie rozrosły w żywe zwierzęta i drzewa!
Rżę z rozkoszy, gdy deszcz rzęsisty zieleń zalewa,
Ciężar liści mnie cieszy: gruby, mokry krzew.

Jelenie parskają w zarośłach, rogami wplątani w gąszcz,
W mchu grzęzną kopytami, w gałęziach się szamocą,
Ziemia paruje zdrowo, zgrzane jelenie się pocą,
Zaraz się wyrwą na łąkę, gdzie deszcz szumi jak chrząszcz.

A na łące, krętym tropem, zgniecione mokre zioła.
Zdeptała je, uciekając, jelenica wesoła.

DZIWY NA NIEBIE

Zgroza, zgroza na wysokościach,
Strop rozdziera, karminy wypruwa!
Hefajstos w chmurach huczy,
Z gromów słowa wykuwa!

Nasze to łby na kowadłach
Błyskającym młotem gruchoce!
Pękających piorunów bomby
Biją w struchlałe noce!

Świst, świst, iskier prysk i wrzawa,
Iluminacji pędy i kręgi!
Pierzcha w popłochu gwiazd kurzawa,
Dzwonią miedziane słowięgi!

Ręce wbite w kocioł niebios!
Metal roztopiony w kościach!
Hej, oczy, jak pięści, — podsycajcie
Zgrozę bożą na wysokościach!

RZEŻ BRZÓZ

Brzozom siekierą żyły otworzę,
Ciachnę przez ciało, rąbnę przez korzeń,
Lepkim osoczem brzozy ubroczę,
Na rany białe wargami wskoczę.

Zęby chwytliwe w trzony brzóz wbiję,
Ustami chciwie soki wypiję,
Żywcem z pod kory wyrwę wargami
Rdzeń umęczony pocałunkami.

Może te leki z żywego drzewa
Słów mnie nauczą, których mi trzeba:
Na chwałę brzozom, na chwałę latu,
Ustom obłędnym, bożemu światu!

SŁOPIEWNIE

Karolowi Szymanowskiemu

I

ZIELONE SŁOWA

A gdzie pod lasem podlasina,
Tam gęsta wiklina-szeleścina.

Na prawo bór, na lewo trawy,
Oj da i te szerokie, śpiewane morawy.

Iści woda, uści woda na murawie,
Szumni-strumni dunajewo po niekławie.

Na prawo bór czarnolas dąbrowiany,
Na lewo ziel jasnoziel lści wodziany.

A po szepcinie wiją, a na murawie dzwionie,
A i tam rżą wesoło te morawiańskie konie.

2

SŁOWISIEŃ

W białodrzewiu jaśnie dźni słoneczno,
Miodzie złoci białopałem żyśnie,
Drzewia pełni pszczelą i pasieczną,
A przez liście kraśnie pęk słowiśnie.

A gdy sierpiec na niebłoczu łyście,
W cieniem ciemnie jeno niedośpiewy:
W białodrzewiu ćwirnie i srebliście
Słodzik słowi słowisieńkie ciewy.

3

KALINOWE DWORY

Kalinowe dwory,
Jarzeń na jawory,
Jarzębiec surowy,
Czerwoń do zawory!

Czerwoń jagodzico
Ładzie do dziewanny!
Borem nie da rady,
Jaworowe panny!

Dziwierz borem łazi,
Łyśnie na spiekory:
Hej, kraśnie zagorzewią
Kalinowe dwory!

4

WANDA

Woda wanda wiślana
głaź głębica srebliwa
po ciemnurzu pazurem
wodzi jaskro księżawiec

sino płynie dno śpiewa
woda wanda ruślana
czesze włosy świetłodzie
topiel dziewny kniaziewny.

5

O MOWIE ROSYJSKIEJ

Tiéwnaja piewunnica
Miłoj mi raduny!
Zwōniestie, zagōristie
Swietoładi struny!

Wjarkoti żurczáłowo,
Wjúnica płaczewna,
Grústiwie pieczáłowo
Tiéwnaja słopiewna!

6

ŚW. FRANCISZEK

Ptakowie kwiatowie
łanie weseli
alleluja lelija
ewangieli.

Ewangieli angieli
światu wołali:
niewiemo! chwalemo!
płakali.

Niebianie polanie
słodkiej światłości
Jezusie gołąbku
miłości!

SPIS RZECZY